

nowa  
proza  
polska

JANUSZ  
GŁOWACKI

Good  
night,  
Dzierzi

Świat Książki

Good night, Dzerzi

Janusz  
**Głowacki**  
Good night, Dżerzi

Redaktor serii  
*Paweł Szwed*

Redaktor prowadzący  
*Ewa Niepokólczycka*

Redakcja techniczna  
*Lidia Lamparska*

Korekta  
*Elżbieta Jaroszuk*  
*Maciej Korbasiński*

Copyright © by Janusz Głowacki, 2010  
Copyright © for the Polish edition  
by Świat Książki, Warszawa 2010  
Copyright © for the e-book edition  
by Świat Książki Sp. z o.o., Warszawa 2010

Świat Książki  
Warszawa 2010

Świat Książki Sp. z o.o.  
02-786 Warszawa, ul. Rosoła 10

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobą trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-247-2288-4  
Nr 45055

# Spis treści

Rok temu, zanim się wszystko na dobre zaczęło

Scena pierwsza

Mgła

Mój agent mnie nie lubi

New York crowd and highly protected party

Wyznania agenta Dennisa B.

Café Provincia

Sen Maszy

Oczy czarne, życie marne

Casting

W porno-kinie

Głos

Co robi glizda, jak jej ktoś nadepnie na ogon

Nocne zdjęcia

Maszy sen albo nie sen

Pierwsza miłość Maszy – bez wzajemności.

Zanim pojawił się Klaus W.

Ściana śmiechu

„Ty moja klacz, a ja twój kowboj”

Co powinniśmy wiedzieć o Jody, zanim dojdzie do jej spotkania z Dżerzim w Central Parku

Sandomierz

Rusłan i Ludmiła

Wino we wszystkich kolorach

Karuzela

W Russian Tea Room

Pejzaż z biciem dzwonów

Backstage

Jak doszło do tego, że Masza znalazła się na Manhattanie w samochodzie, który prowadził Dżerzi...

Opowieść matki Zachara...

Budzę się i nie wiem, gdzie jestem

Byłeś grzeczny, więc kupię ci lody

Jesteś w piątce

Zabijam ciebie w sobie

Saint Luke's Hospital

Piesek na szynach

3 x Łódź

Romanian Pastry Shop

Lep na muchy

Ruch koniem

Sen mara, ptak ptakiem

Opowieść sprzątaczkii

Dziewiąty powód reinkarnacji

W Hoboken

Greenwich w stanie Connecticut, czterdzieści pięć minut od Nowego Jorku samochodem

Nieprzyjemna praca

Znaki ostrzegawcze

Jestem zmęczony...

Retro 5

Czarny pies

Skoczek

Klaus opisuje swoją wizytę w pracowni Dzierzkiego...

Tiomnaja nocz' w Café Karenina

Dwa dni zdjęciowe na Manhattanie

Logorea

Zabawa w chowanego

Porno-kino 2

Miniatura oceanu

List Klause W.

Olenie

Drogi Janku, powiedziała kobieta, którą kochałem i która dobrze mi życzyła. Błagam cię, napisz tę historię bez żartów i poważnie. To jest twoja ostatnia szansa. Ludzie mają dość twojego cynizmu. Jeżeli tego nie zrobisz – zniszczą cię. A ja nie będę żyła z facetem zniszczonym.

Obiecałem, że zrobię, co się da, bo nie chciałem, żeby ona też ode mnie odeszła.

## Rok temu, zanim się wszystko na dobre zaczęło

Roger i Raul to znani producenci z Broadwayu. Odwiedziłem ich w penthousie po zachodniej stronie górnego Manhattanu. To był jakby niezależny domek otoczony tarasem ze wszystkich stron. Willa postawiona na szczycie dwudziestopiętrowego wieżowca. Widok jak się należy. Po jednej stronie rzeka Hudson, pięć razy szersza od Wisły w jej najszerszym miejscu, od strony oceanu sunęły po niej wolniutko dwa duże statki. Na drugim brzegu paliły się światła New Jersey, trochę dalej świeciły przęsła George Washington Bridge. Po prawej stronie był Broadway i Central Park.

New Jersey to niby stan osobny, ale tak uzależniony od Nowego Jorku, że bardziej nie można. Miejsc pracy tam jest mało, ale kompleksów akurat. I jeżeli ktoś się urodził po niewłaściwej stronie Hudsonu, chyba że w bardzo bogatej rodzinie, to jego szanse dojścia do czegoś na Manhattanie za duże nie są. A dla tych, co się urodzili w Łodzi, powiedzmy, na ulicy Gdańskiej, Manhattan jest w ogóle poza zasięgiem. Z tym że Manhattan jest właśnie nieprzewidywalny. Na ogół wiemy, komu

się może udać, a komu nie, a tutaj pewniacy giną bez śladu, a kompletnie beznadziejne przypadki nagle wygrywają.

Ten domek na dachu otaczała mała dżungla. W gigantycznych donicach rosły bananowce, sekwoje, drzewa pomarańczowe i palmy. Do jednej z nich, obejmując mocno pień, przytulała się duża iguana, a na fotelach spały cztery koty. Producenci byli w czarnych żałobnych garniturach, bo parę dni temu piąty kot Lakerrek zasnął na parapecie, spadł i roztrzaskał się na West Endzie. Obaj nie wykluczali samobójstwa, bo koty na Manhattanie są niemal zawsze w depresji. Pochowali go na ekskluzywnym cmentarzu w New Jersey, tam gdzie pochowany jest sławny lew, który wciąż ryczy jako znak firmowy MGM.

Dobrze nam się rozmawiało, bo też mam dwa koty. Pierwszy to ogromny rudy kocur z Brooklynu, nachalny i pewny siebie. Raz w nocy czekałem na autobus, po stronie wschodniej Manhattanu, na rogu Dziewięćdziesiątej Szóstej, przy Central Parku, i to nie było przyjemne miejsce, pusto, ciemno, wiał wiatr. No i oczywiście z mgły się wynurzył ogromny Murzyn z drewnianą klatką. Przez chwilę obliczałem swoje szanse na ucieczkę, ale byłem za bardzo zmarznięty i zmęczony. Nie ruszyłem się z miejsca. Podszedł i spytał, czy mogę mu pomóc. Szybko wyjąłem pięć dolarów. Wyciągnął z kieszeni spięty gumką zwitek studolarówek i dołączył do nich moją piątkę.

– Nie to, bracie, miałem na myśli, ale tak czy inaczej dziękuję – powiedział. – Weź tego kota.

Odpowiedziałem, że jednego już mam.

– To będziesz miał dwa. Jest zdrowy, silny i wykastrowany. Urodził się na Brooklynie, a nazywa się But.

Postawił klatkę na ziemi i odszedł. Wołałem za nim, ale się nie odwrócił. Zaniósłem klatkę do domu i otworzyłem. Ze środka wyczołgał się rudzielec. Miał okrągły łeb, wielkie łapy i żółtożółte oczy. Obejrzał mnie obojętnie i zaczął obchodzić mieszkanie. Zneurotyzowana kotka z Manhattanu prysnęła ze swojego miejsca na kanapie. But podszedł do miseczki ze zdrowym jedzeniem dla kotów, obwąchał je nieufnie i zaczął jeść. Od tej pory mam dwa koty.

Piliśmy wino, rozmawialiśmy o samobójstwach i wszystko szło dobrze, dopóki nie wspomniałem, że piszę sztukę o Dżerzim. Opowiedziałem pierwszą scenę.

## Scena Pierwsza

No więc, mieszkanie wygodne, ale niewielkie, w centrum Manhattanu. Za oknem mruga czerwony neon, „American Airlines; Something Special in the Air”. Rok 1982, zima. Część living roomu oddzielona jest bordową kotarą. Tam śpi żona. Ta część będzie niewidoczna, żona na scenie się pojawi tylko raz, prawie na końcu. Początkowo będziemy tylko słyszeć jej głos. Z living roomu przechodzi się do gabinetu pisarza. No i łazienka, bardzo ważna część sceny. Na jej ścianie stare wyblakłe zdjęcie czarno-białe, a na nim rodzice trzymają za ręce małego chłopczyka. W living roomie przy stole siedzi nad partią szachów ojciec Dżerzego, ubrany tak, jak ubierało się

zamożne żydowskie mieszczaństwo w roku 1940. Ojciec ma trzydzieści parę lat. No i wchodzi Dżerzi, współczesny, nowojorski, pięćdziesięciosiedmioletni. Bo w tej sztuce czasy się będą mieszać i przenikać, jak to w życiu. Jest szczupły, wysoki, burza czarnych włosów. Zdejmuje płaszcz. Zostaje w garniturze i białej koszuli. Oczywiście krawat, czarne drogie buty. Jest o dobre dwadzieścia lat starszy od swojego ojca. Nie zauważa go zresztą. Natomiast ojciec unosi na chwilę głowę znad szachownicy, odprowdza syna wzrokiem, wzrusza ramionami i wraca do analizowania partii szachów. Przechodząc, Dżerzi rzuca w stronę kotary:

Dżerzi: Jestem.

(Off zza kotary)

Żona: Dobrze się bawiłeś?

Dżerzi: Bardzo dobrze. Dobranoc, kochanie.

Żona: Good night, Dżerzi.

Dżerzi wchodzi do gabinetu i sprawdza wiadomości. Słuchając, puszcza gorącą wodę do wanny.

1. Tu Jody. Bardzo chcę cię zobaczyć. Zadzwoń.
  2. Dear sir, on behalf of the Yale University, of Literature Department. We would like to invite you... (przyspiesza taśmę).
  3. Tu Jody. Muszę z tobą porozmawiać. Zadzwoń.
  4. Głos kobiety z silnym akcentem hiszpańskim: Dżerzi, you mother fucker, don't try to fuck with me or you'll be fucking sorry.
  5. On behalf of Spertus College of Judaica...  
Znów przyspiesza taśmę.
- Burko zawalone książkami, ogromna biblioteka, stos

numerów „New York Times Magazin”. Na okładce Dżerzi w bryczesach i wysokich butach do konnej jazdy stoi przed stajnią. Jest goły od pasa w górę, w rękę trzyma szpicrutę.

Teraz wejdzie do wanny. Zamyka drzwi od łazienki albo zasuwą kotarę. Muzyka. Najpierw Frank Sinatra, potem wtrącają się międzywojenne szlagiery polskie typu *Miłość ci wszystko wybaczy*.

No i za chwilę z łazienki wychodzi mały chłopczyk. Zmieniają się światła. Reflektory wydobywają rzeczy i meble, których przedtem nie widzieliśmy. Teraz jest rok 1940. Niemiecka okupacja i mieszkanie, w którym mieszka mały Dżerzi z rodziną. Neon za oknem już nie mruga. Chłopiec podchodzi do stołu, przy którym nad szachownicą pochyła się ojciec. Siada, przygląda się figurom. Ojciec, nie patrząc na niego, rzuca:

Ojciec: Przeżegnaj się.

Chłopiec powoli kreśli znak krzyża.

Ojciec: Szybciej!

Więc chłopiec żegna się szybciej.

Ojciec: Jak się nazywasz?

Chłopczyk: Jurek.

Ojciec: Jaki Jurek?

Chłopczyk: Lewinkopf.

Ojciec wali go w twarz, wywracając kilka figur. Chłopiec próbuje je ustawić. Ojciec powtarza:

Ojciec: Jak się nazywasz?

Chłopczyk: Jurek Lewinkopf.

Ojciec podnosi się i wyciąga ze spodni pasek.

Ojciec: Jak się nazywasz, szczeniaku?

Chłopczyk: Jurek (odpowiada chłopiec ze łzami w oczach i powtarza szybko kilka razy), Jurek, Jurek, Jurek Kosiński.

Teraz na scenę wchodzi piękna matka w eleganckim futrze. Na kołnierzu srebrzą się płatki śniegu. Wspaniałe czarne włosy wymykające się spod stylowego kapelusza. Chłopczyk biegnie do niej i przytula do futra rozpaloną twarz. Matka czule go całuje i patrzy z wyrzutem na męża, ukrywającego za plecami pasek.

Matka: Ty go, Mojżesz, bijesz, nie dlatego, że chcesz go czegoś nauczyć, tylko dlatego, że lubisz go bić.

Ojciec: Wyście powariowali. Jeżeli chcecie, żebym was przeprowadził przez piekło, to musicie się słuchać. Oboje.

Chłopczyk grający Dżerzego (do reżysera): Panie reżyserze, on mnie naprawdę uderzył.

Reżyser (niewidoczny z offu): Milczeć! Grać!

Matka: Jureczku, cokolwiek się stanie, pamiętaj, że mamusia cię kocha.

Matka rzuca nonszalancko futro na podłogę i znika ze sceny.

Ojciec: I Mieczysław! Nie Mojżesz, Mieczysław!

Potem z rezygnacją macha ręką i wraca do szachów. Zza sceny słyszymy pianino. To matka pięknie gra *Walca Mefisto* Franciszka Liszta. Chłopczyk podnosi futro i wchłania zapach matki. Wraca do łazienki. Zmieniają się światła. Teraz to znów Nowy Jork i migający za oknem czerwony neon.

\*